ANTROPOLOGIA CODZIENNOŚCI Trudna prawda o życiu kobietna przedwojennej polskiej wsi

W świecie brutalnym i podporządkowanym regułom, które zazwyczaj ustalali mężczyźni, nie były całkowicie pozbawione wpływu na swój byt. Potrafiły prowadzić gospodarstwa, zawierać umowy, sporządzać testamenty i korzystać z prawa.

PIOTR GÓRSKI



Kobiety na przedwojennej polskiej wsi doskonale wiedziały, ile wart jest kawałek pola czy własny młyn, potrafiły zarządzać majątkiem

Mamy o nich zazwyczaj całkiem mylne wyobrażenie. Warto skonfrontować obraz przekazywany nam przez lata z zupełnie inną rzeczywistością. Kobiety nie milczały. Na starych fotografiach stoją zwykle nieruchomo. Czasem w chustach, w ciemnych sukniach, z dłońmi ułożonymi na fartuchu albo opartymi o poręcz krzesła. Patrzą w obiektyw surowo, bez uśmiechu. Za nimi może być drewniana chałupa, przed nimi dzieci, obok mąż. Tak przez lata patrzyliśmy na kobiety dawnej polskiej wsi – jak na część pejzażu, niemal tak oczywistą jak studnia, piec, stodoła i pole ciągnące się za domem.

Niewiele o nich wiemy

Wiedzieliśmy, że pracowały ciężko, rodziły dzieci, doglądały zwierząt, nosiły wodę, gotowały, przędły, prały i czekały na mężów wracających z pola albo karczmy. Znacznie rzadziej pytaliśmy, co myślały, czego się bały, czego chciały i co robiły wtedy, kiedy ich życie przestawało mieścić się w narzuconych ramach.

Książka Anety Godyni „Nieugięte. Jakie naprawdę były wiejskie kobiety” (Znak 2026) zaczyna się właśnie w tym miejscu: tam, gdzie kończy się wygodny stereotyp. Nie jest to opowieść o idealnych bohaterkach, które z dzisiejszą świadomością walczyły z patriarchatem, zanim ktokolwiek na wsi znał to słowo. Byłoby to zbyt łatwe i po prostu nieprawdziwe. Za proste. Aneta Godynia robi coś ciekawszego. Zagląda do sądów, kancelarii notarialnych, ksiąg spadkowych, testamentów i protokołów przesłuchań. Szuka kobiet nie tam, gdzie zwykle szuka się wielkiej historii, ale tam, gdzie historia codzienna zostawiła po sobie ślad. W aktach można zobaczyć, ile miały ziemi, czy posiadały krowę, co wniosły w posagu, komu zapisały chałupę, z kim się sądziły, przed kim uciekały i o co walczyły. Z takich dokumentów wyłania się obraz znacznie bardziej skomplikowany niż ten, który znamy z rodzinnych opowieści.

Były silne. Potrafiły prowadzić gospodarstwa, zawierać umowy, sporządzać testamenty i korzystać z prawa. Godynia pokazuje, że niepiśmienność nie była tym samym, co nieświadomość. Kobieta mogła nie znać liter, ale doskonale wiedziała, ile wart jest kawałek pola, co oznacza utrata krowy i dlaczego trzeba zabezpieczyć córkę przed przyszłym zięciem. Autorka ujmuje to bardzo trafnie: te kobiety „potrafiły liczyć”. Liczyły na siebie, kalkulowały ryzyko, myślały o przyszłości rodziny i dbały o własny majątek, nawet jeżeli składał się z kilku morgów, skrzyni, pościeli, zwierzęcia i niewielkiej sumy pieniędzy. Oczywiście, nie wszystkie kobiety. Były też i takie (zapewne większość), które pokornie spełniały rolę, jaką im przypisano. W tamtym świecie własność miała wagę, którą dzisiaj trudno nam sobie wyobrazić. Krowa nie była tylko zwierzęciem gospodarskim. Mogła oznaczać mleko, pieniądze i zabezpieczenie na zimę. Pole nie było widokiem za oknem, ale źródłem żywności i gwarancją, że rodzina nie będzie całkowicie zależna od cudzej łaski. Własna

chałupa stanowiła jeszcze większą wartość. Dawała miejsce, z którego nie można było kogoś tak łatwo wyrzucić. Pozwalała powiedzieć: „to jest moje”.

Franciszka i jej dom

Jedna z kobiet opisanych przez Godynię, Franciszka, zostawiła po sobie właśnie taki ślad. W 1920 r. przekazywała synowi majątek. W dokumentach wymieniono: pole, część stodoły i chałupę. Pojawia się tam informacja, niemal mimochodem, choć w rzeczywistości mówi bardzo wiele: chałupę Franciszka postawiła sama, za własne pieniądze. Nie dostała jej od męża, nie odziedziczyła po ojcu. Nie była tylko użytkowniczką. Była właścicielką czegoś, co zbudowała dzięki własnej pracy i oszczędności.

Nie trzeba dopisywać do tej historii współczesnych haseł. Wystarczy zatrzymać się przy tym prostym fakcie: 100 lat temu kobieta na polskiej wsi zarobiła pieniądze, zbudowała za nie dom, a później mogła zdecydować, komu go przekazać. Nie czyniło jej to osobą wolną w naszym rozumieniu tego słowa, ale pokazuje, że jej życie nie mieści się w obrazie całkowitej zależności. Miała coś własnego, a to „własne” było jednym z najważniejszych źródeł jej siły.

Marianna i sąd

Najbardziej przejmujące są jednak te historie, w których siła kobiet zderza się z granicami świata, w jakim żyły. Jedną z nich jest opowieść o Mariannie z Liszek. Młoda kobieta rodzi nieślubne dziecko, a sprawa ojcostwa trafia do sądu. Początkowo Wincenty zostaje uznany za ojca i zobowiązany do płacenia. Później jednak rozpoczyna się walka o podważenie tej decyzji. Obrona punktuje słabości Marianny, a jedną z nich okazuje się coś, co dzisiaj może brzmieć niewiarygodnie: kobieta nie potrafiła wskazać miesiąca, w którym doszło do stosunku. Dla sądu miesiąc był kluczowy. Dla Marianny czas mógł płynąć inaczej. Nie od stycznia do grudnia, lecz od siewu do żniw, od określonych prac polowych, od pory, w której dzień stawał się dłuższy albo krótszy. Wiejska codzienność miała własny kalendarz, a kobieta stająca przed sądem musiała nagle przetłumaczyć swoje życie na język urzędu. Jeżeli tego nie potrafiła, jej wiarygodność słabła. Nie miała zegarka ani kalendarza na ścianie. W tej samej historii jest jednak też coś znacznie mroczniejszego. Z relacji Marianny wynika, że nie mówiła o dobrowolnym zbliżeniu, ale o przemocy seksualnej. Opowiadała, że została wyciągnięta na pole i zmuszona siłą do odbycia stosunku. Przekładając to na dzisiejszy język – zgwałcona. Wiemy, że jej słowa podważano, że przedstawiano ją jako osobę niewiarygodną i że siła społeczna po obu stronach sporu była zupełnie nierówna. Kobieta z ubogiej wsi musiała nie tylko opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, lecz jeszcze udowodnić, że w ogóle zasługuje na to, by jej słuchać.

Kobieta i wolność

„Nieugięte” dobrze pokazują, że samo istnienie prawa nie oznaczało jeszcze sprawiedliwości. Kobiety mogły pozywać ojców swoich dzieci i domagać się alimentów. Mogły składać wnioski o separację. Mogły walczyć o majątek. Czasem wygrywały. Czasem jednak przegrywały nie dlatego, że zabrakło im odwagi, lecz dlatego, że brakowało im zaplecza, pieniędzy. Często słownictwa. Szczególnie dobrze widać to w historii Marii i Jana. Maria nie była bierna. Zebrała dowody, miała świadków, złożyła pozew, korzystała z pomocy adwokata. Sąd pozwolił jej osobno zamieszkać i w pewnym sensie państwo stanęło po jej stronie. Tyle że prawna decyzja nie dawała chleba. Nie dawała opału. Nie zapewniała miejsca do spania dzieciom. Maria była uboga i nie miała własnego majątku. Godynia pisze brutalnie, że nie miała nawet własnej krowy. Kiedy czytałem tę książkę, to zdanie szczególnie wryło mi się w pamięć. Nie dlatego, że krowa jest jakimś szczególnie wstrząsającym aspektem tej historii, lecz dlatego, że nagle staje się miarą wolności. Kobieta z własnym inwentarzem, ziemią albo pieniędzmi miała choć minimalne oparcie. Kobieta bez niczego mogła wygrać sprawę i nadal nie mieć dokąd pójść. Prawo otwierało drzwi, ale bieda często zatrzymywała w progu.

Sądy dawały radę

Jeszcze inny obraz dawnej kobiecej rzeczywistości przynosi historia Anieli i Franciszka. Ich małżeństwo nie było spokojne: kłótnie, obelgi i wzajemne pretensje. Sąd orzekł rozdział od stołu i łoża, a winą za rozpad związku obciążył oboje. Mimo to Aniela otrzymała alimenty. Powód był bardzo konkretny: wniosła do małżeństwa cztery morgi pola oraz inwentarz. Ten majątek sprzedano, a pieniądze posłużyły m.in. do spłacenia długów i zakupu ziemi zapisanej na męża. W praktyce Franciszek wyszedł z małżeństwa z korzyścią finansową, podczas gdy Aniela mogła zostać bez środków. Sąd to dostrzegł.

Takie historie pozwalają spojrzeć na dawne małżeństwo bez sentymentalizmu. Było związkiem dwojga ludzi, ale też układem gospodarczym. Liczyło się, kto wnosi ziemię, kto daje krowę, kto ma pieniądze i na kogo zapisano budynki. Miłość mogła być ważna, ale nie płaciła podatków i nie karmiła rodziny. Dlatego intercyzy, darowizny i zapisy przedślubne nie były urzędniczą fanaberią, lecz sposobem na zabezpieczenie przyszłości.

W 1928 r. Michał Grabiec podarował swojej narzeczonej Zofii Zielińskiej połowę pól i połowę należących do niego budynków. Godynia pokazuje, że podobne praktyki nie były normą, ale jednak się zdarzały. Były formą zabezpieczenia kobiety, zwłaszcza wtedy, gdy wnosiła własny posag i przenosiła się do gospodarstwa przyszłego męża. W takim dokumencie widać świat, w którym małżeństwo było także ekonomiczną umową. Rodzina panny chciała wiedzieć, że córka nie stanie się darmową siłą roboczą i że w razie śmierci męża albo konfliktu nie zostanie z pustymi rękami. Wszystko to bardzo komplikuje obraz patriarchalnej wsi. Nie dlatego, że patriarchatu nie było, lecz dlatego, że rzeczywistość była pełna wyjątków, negocjacji i sposobów obchodzenia ograniczeń. Mężczyźni mieli formalnie większą władzę, ale kobiety potrafiły zdobywać narzędzia, które tę władzę choć częściowo równoważyły. I potrafiły z nich korzystać.

Przemoc wobec kobiet

Sytuacja inaczej wyglądała wtedy, gdy w domu pojawiała się przemoc. W jednym z najbardziej przejmujących rozdziałów Godynia pokazuje, jak bardzo ocena cierpienia zależała od statusu społecznego. Wiejska kobieta skarżąca się na bicie i znieważanie mogła usłyszeć, że takie zachowania należą do częstych zjawisk w środowisku chłopskim. Sąd uznawał zachowanie męża za naganne, lecz niekoniecznie widział w nim wystarczający powód do zdecydowanej ochrony kobiety. Dzisiaj ta logika brzmi wstrząsająco: powszechność przemocy staje się argumentem za jej łagodniejszym traktowaniem – skoro na wsi biją się częściej, to cierpienie konkretnej kobiety traci część swojej wagi.

Jeszcze wyraźniej widać to w zestawieniu z historią Bronisławy, artystki z wyższego środowiska, która została zmuszona do małżeństwa presją psychiczną. W jej przypadku sąd potrafił dostrzec, że przymus nie musi pozostawiać śladów na ciele, by niszczyć wolność człowieka.

Dwie kobiety. Dwie krzywdy. Dwa standardy wrażliwości. Wszystko to nie jest opowieścią wyłącznie o prawie i jego ówczesnym rozumieniu. To historia o tym, komu wolno było cierpieć w sposób uznany za ważny. Ból chłopki mógł zostać potraktowany jako część świata, do którego należała. Ból kobiety wykształconej i artystki stawał się bardziej indywidualny, bardziej godny ochrony.

„Wieś wiedziała”...

Jednak także na wsi przemoc rzadko była zupełnie niewidoczna. Jednym z najważniejszych wniosków książki jest to, że „wieś wiedziała". Sąsiedzi słyszeli krzyki, krewni widzieli, co dzieje się w domu, matki przyjmowały uciekające córki, bracia próbowali rozmawiać z brutalnymi szwagrami, a świadkowie opowiadali później o wszystkim przed sądem. Nie oznacza to, że wspólnota zawsze ratowała pokrzywdzoną. Czasem stawała po stronie męża, czasem próbowała pogodzić małżonków, czasem uznawała, że kobieta powinna wrócić do domu.

Ważne jest, że rzeczywistość nie była tak prosta, jak zdanie: mąż bił, a wszyscy milczeli. W historii Zofii i Macieja widać to szczególnie dobrze. Zofia próbowała odejść od męża, wniosła o separację, zarzucała mu złe traktowanie i niszczenie majątku. Sąd przyznał jej prawo do osobnego mieszkania i alimenty. Wokół małżeństwa istniała jednak cała sieć ludzi, którzy wiedzieli o konflikcie. Z akt wynika, że prywatność dawnej wsi była bardzo ograniczona. Ktoś widział, kto przychodził do domu. Ktoś wiedział, że kobieta dostała pieniądze. Ktoś zauważał zmiany w gospodarstwie. Kiedy dochodziło do tragedii, to właśnie te drobiazgi stawały się później elementami rekonstrukcji wydarzeń.

Historie kobiet samotnych

Akta sądowe mają w sobie coś osobliwego i szczególnego. Powstały po to, by rozstrzygnąć konflikt, ale po 100 latach stają się kroniką zwyczajnego życia. Pokazują nie tylko to, kto był winny, ale jak wyglądała izba, kto miał skrzynię, kto uprawiał pole, kto był zadłużony i kto przynosił dzieciom jedzenie. W jednym protokole może przetrwać więcej codzienności niż w całym podręczniku. Szczególnie ciekawe są historie kobiet samotnych. W społeczności, w której małżeństwo było podstawowym sposobem organizacji życia, niezamężna kobieta łatwo mogła zostać uznana za kogoś stojącego na marginesie. Tymczasem dokumenty pokazują coś innego. Marianna Wielkiewicz z Nowego Targu zmarła w 1899 r. jako kobieta samotna. Nie miała męża ani dzieci. Miała jednak majątek i zadbała o jego przyszłość, sporządzając testament. Był to gest o dużym znaczeniu. Testament mówi: moje życie nie kończy się na tym, że nie zostałam żoną. Mam własne rzeczy, własne zobowiązania i własną wolę. Chcę zdecydować, co stanie się po mojej śmierci. Samotna kobieta nie musi być w tej opowieści bierną postacią. Może być właścicielką i osobą świadomie korzystającą z prawa.

Właśnie dlatego jednym z najważniejszych słów tej książki wydaje się „moje". Moja ziemia, chałupa, moje pieniądze, dziecko, moja część gospodarstwa. W świecie, w którym tożsamość kobiety bardzo często określały pełnione przez nie role społeczne: córki, żony i matki, możliwość powiedzenia „to należy do mnie" była czymś niezwykle istotnym. Nie oznaczała pełnej wolności. Dawała jednak przestrzeń do działania.

W „Nieugiętych" równie ciekawy jest rozdział dotyczący marnotrawnych mężów. W dawnym prawie człowiek, który trwonił majątek i zagrażał bytowi rodziny, mógł zostać objęty kuratelą. Godynia pokazuje, że żony korzystały z takich rozwiązań. Nietrudno zrozumieć, dlaczego. Gdy mężczyzna zadłużał gospodarstwo, sprzedawał ziemię albo przepijał pieniądze, zagrożone było nie tylko jego życie. Razem z nim na dno mogły pójść dzieci i żona.

Kobieta nie zawsze mogła odejść. Mogła więc próbować zatrzymać ekonomiczną katastrofę. Jest to kolejny moment, w którym stereotyp gospodyni stojącej z boku zaczyna pękać. Czasem to właśnie ona musiała chronić gospodarstwo przed gospodarzem.

Znaleźć swoje miejsce

Nie należy jednak popełniać błędu i zamieniać wszystkich bohaterek Godyni w niepokonane heroski. Autorka wyraźnie tego unika. Te kobiety przegrywały. Czasem sąd odrzucał ich skargi. Czasem nie miały pieniędzy. Czasem wracały do mężów, których wcześniej próbowały opuścić. Czasem po prostu nie było dobrego rozwiązania. To być może

najważniejsza teza tej książki: sprawczość nie może zostać pomylona z sukcesem. Można działać i przegrać. Można być odważną i nadal pozostawać zależną. Można mieć rację i nie mieć za co żyć. „Nieugięte" nie opowiadają więc o kobietach, które pokonały swój świat. Opowiadają o kobietach, które próbowały w nim znaleźć miejsce dla siebie. I właśnie tutaj książka zaczyna mówić coś ważnego nie tylko o kobietach, ale o samej historii. Przez lata wielka narracja interesowała się tym, co działo się w pałacach, parlamentach, na frontach i w gabinetach.

Chłopka z Liszek albo Nowego Targu pojawiała się jedynie jako element tła. Jeśli nie znalazła się w sądzie, akcie notarialnym albo sporze o spadek, mogła przeżyć całe życie i zostawić po sobie zaledwie kilka metrykalnych wpisów. Urodziła się. Wyszła za mąż. Urodziła dzieci. Umarła. Całe jej życie mieściło się wtedy w kilku linijkach. Dopiero konflikt sprawiał, że pojawiała się w źródłach jako człowiek. Musiała powiedzieć, czego chce, kto ją skrzywdził, co posiada, ile pieniędzy się jej należy, kto ma dostać ziemię. W aktach zaczynała mówić. Oczywiście, nie jest to głos czysty. Między kobietą a nami stoi protokolant, urzędnik i sędzia. Ktoś spisuje jej słowa, skraca je, porządkuje, tłumaczy gwarę na język kancelarii. Dokument nie jest przezroczystym oknem. Raczej starą szybą, przez którą obraz widać niewyraźny. A jednak pozwala zobaczyć coś, czego inaczej byśmy nie zobaczyli.

Nie o pomnik tu chodzi

Właśnie w tym sensie książka Godyni jest ważna. Nie próbuje budować nowego pomnika w miejsce starego stereotypu. Nie przekonuje, że wszystkie wiejskie kobiety były silne, zaradne i niezależne. Przeciwnie, pokazuje różnice. Jedna miała cztery morgi pola, druga nie miała krowy. Jedna budowała dom, inna nie miała gdzie uciec. Jedna wygrywała proces, druga odchodziła z sądu z niczym. Łączyło je to, że każda miała własną historię. Być może właśnie tego zabrakło w naszym myśleniu o prababkach. Widzieliśmy zbiorowość. „Kobiety na wsi". „Chłopki". „Gospodynie". Tymczasem za każdą z tych nazw stała konkretna osoba z własnym temperamentem, rozsądkiem, lękiem, ambicją i słabością. Jedna oszczędzała. Druga się sądziła. Trzecia wracała do męża. Czwarta stawiała dom. Piąta pisała testament. Szósta chciała po prostu, żeby ojciec jej dziecka płacił tyle, ile nakazał sąd.

W tym sensie „Nieugięte" są książką nie tyle o wyjątkowych kobietach, ile o zwyczajnych kobietach potraktowanych wreszcie poważnie. I chyba dlatego najciekawsze pytanie pojawia się dopiero po lekturze: czy przez lata nie opowiadaliśmy historii naszych prababek zbyt prosto? Może były biedne, niepiśmienne i zamknięte w świecie niewielkiej wsi, ale to nie znaczy, że były pozbawione woli. Może nie znały słowa „emancypacja", lecz wiedziały, kiedy trzeba iść do sądu. Nie mówiły o „niezależności ekonomicznej", ale rozumiały, dlaczego warto mieć własne pole. Nie znały pojęcia „przemocy ekonomicznej", lecz wiedziały, że mąż przepijający gospodarstwo może zniszczyć rodzinę.

Ich siła nie była romantyczna

Najmocniej działa w tej książce właśnie ten rozdźwięk między językiem współczesnym a dawnym doświadczeniem. My nazwalibyśmy działania tych kobiet sprawczością, zabezpieczeniem majątkowym, dochodzeniem roszczeń, walką z przemocą. One mówiły prościej. Chciały dostać swoje, ochronić dzieci. Chciały przeżyć. Może dlatego tytuł „Nieugięte" po lekturze książki brzmi inaczej niż na początku. Nie jak pochwała heroizmu, ale jak opis konieczności. Te kobiety często musiały być twarde, bo nie miały nikogo, kto mógłby być twardy za nie. Kiedy mąż trwonił majątek, ktoś musiał go ratować. Kiedy ojciec nie płacił alimentów, ktoś musiał uruchomić sąd. Kiedy zbliżała się starość, trzeba było zapisać sobie prawo do mieszkania, opału i jedzenia. Kiedy dochodziło do przemocy, trzeba było zdecydować, czy zostać, czy próbować odejść.

Ich siła nie była romantyczna. Była praktyczna. Miała smak chleba, który trzeba było zdobyć na jutro. Miała ciężar krowy, którą można było sprzedać. Miała powierzchnię kilku mórg pola. Miała kształt klucza do własnej chałupy. Pod koniec książki Aneta Godynia podkreśla, że nie chce zamykać historii w prostych tezach. Akta, testamenty i kontrakty mają być

raczej miejscem spotkania z ludźmi, którzy żyli, bali się i walczyli z dala od wielkich narracji. To bardzo uczciwe założenie. Nie można powiedzieć, że tak wyglądało życie wszystkich kobiet na polskiej wsi. Można natomiast powiedzieć coś znacznie ważniejszego: nie wyglądało zawsze tak, jak przez lata chcieliśmy je widzieć.

Na starych fotografiach kobiety nadal stoją nieruchomo. Nie dowiemy się z nich, która miała własne oszczędności, która uciekła od męża, która pozwała ojca dziecka, a która zbudowała dom za swoje pieniądze. Fotograf tego nie zapisał. Zapisał to notariusz, sędzia, urzędnik, czasem ktoś, kto przesłuchiwał sąsiada. Dzięki temu po 100 latach możemy zobaczyć coś więcej niż chustę, fartuch i poważną twarz.

Możemy zobaczyć kobietę, która miała własną wolę. A kiedy już ją zobaczymy, trudno znowu sprowadzić ją do roli tła.